21. Sierpnia. Nr. 37. 1868 roku.

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „Nowin" we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej."

LUDZIE DOBRYCH CHĘCI.

Przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

II.

Mężczyzna wzrostu więcej jak średniego, stał już przed panem Boromeuszem i podawał mu rękę do powitania, skłoniwszy się także pannom.

— Zapomniałeś pan o starym biurokracie — zawołał gospodarz zapraszając gościa, ażeby zechciał zająć miejsce obok niego na sofie.

Stasia nie mogła ukryć pomięszania; a że w pierwszym pokoju nie było kwiatów do którychby w takim razie uciec się można, pobiegła do stolika, gdzie leżały książki i książeczki, zeszyty i t. p., cały zasób duchowego wykształcenia panienek.

Zdradziłaby się Stasia, gdyby ją kto z ubocza śledził; ale zdradziłby się i pan Aleksander, gdyby równie przypatrywał się ktoś, jak często on zwracał się w stronę, gdzie przed stolikiem zasiadła Stasia, okazując niby wielkie zajęcie się.

Aleksander Szeremet szedł do pana Boromeusza w interesie. Nim jednak przybył do jego mieszkania, rozważał po drodze, czy spieszył dla interesu, czy bardziej może dla Stasi?

Interes był ważny, ale i za najważniejszym interesem idzie się z konieczności; dzisiejsze zaś odwiedziny sprawiały mu przyjemność.

Czy kochał Stasię? — Tego nie wyrzekł. Ale nie powiedziałby także śmiało, że jej nie kochał.

Gdy tak siedzi obok pana Boromeusza, myśli zbiera, a one uciekają, serce kryje, a ono wyrywa się i wiedzie sługę swego, wzrok, ku Stasi, przerwał znowu milczenie ojciec.

— Czy znalazłeś panie Aleksandrze już coś odpowiedniego dla siebie?

— Ależ o niczem podobnem nie myślałem — odparł nagle Szeremet zmieszany. — O niczem podobnem, słowo daję — poprawił się — ja nie myślę tak prędko się żenić.

— Co, co, co? — zawołał zdumiony pan Boromeusz.

Stasia nie powstrzymała się od mimowolnego uśmiechu. Uśmiech głośny Stasi wtrącił zagadniętego Aleksandra w większe jeszcze zakłopotanie. Uśmiechnięty także gospodarz, wyjaśnił nieporozumienie powtórnem odezwaniem się:

— Chyba pan Aleksander myślał o posagu, o żonie, o dobrej partji, jeźli mógł tak odpowiedzieć jakieśmy słyszeli? Bo ja pytałem, czy znalazłeś pan zatrudnienie jakie, któreby odpowiedziało zdolnościom pańskim?

— A! tak? Pracę jaką? Otoż nic dotychczas nie uzyskałem, nadeptawszy nawet nie mało progów — odparł. wreszcie Szeremet, będący już zupełnie panem swych myśli.

— Może mi teraz przyznasz słuszność? — zawołał tryumfująco pan Boromeusz. — Bez protekcji nic nie zrobisz. Żebyś był mądry w radzie jak stary Kato, żebyś rozumował jak nowoczesny minister, a kochał bliźnich jak ten tam jakiś w czyjejś sztuce kochanek kochankę — jak on się tam nazywał, zaraz...

— Romeo — podchwyciła Stasia.

— Aha, otoż, gdybyś nawet jak ten pan Romeo swoją kochankę, tak wszystkich powiadam ukochał, nie znajdziesz uznania, nie znajdziesz, dopóki nie masz protekcji. Proszę państwa, ja posiwiałem, dwadzieścia przeszło lat służę; w urzędzie nigdy w politykę się nie bawię, zawsze jestem tylko urzędnikiem, wiedzącym to, co każą — i coż ztąd? Nie miałem protekcji, jestem prawie niczem. Pan Kochelka został sekretarzem, Wyrwiczka adjunktem, Koprziwka sędzią powiatowym, a ja czem?... Byłem kancelistą, jestem kancelistą i...

Tu nagle ostygł w zapale pan Boromeusz.

— Ale nie będę dłużej kancelistą! — dodał stanowczo.

— Coż pan poczniesz w przyszłości? — zapytał otwarcie Szeremet.

— Co? Jeszcze nie wiem; jakoś to będzie. Ale czy nie na mojem stanęło? Bez protekcji nawet, nawet za próg domu się nie wychylaj.

— Teraz jeszcze nie tyle protekcji, co zaznajomienia się potrzebowałbym z jednym z panów mieszczan tutejszych — odrzekł Aleksander. — Jeżeli pan zna się z panem Politatowskim, to o pośredniczenie i przedstawienie mię jemu, prosiłbym.

— O! znamy się ze szkół jeszcze. — Tu oglądnął się pan Boromeusz po pokoju, i dodał głos zniżywszy:

— Tak otwarcie powiedziawszy, to mój niegdyś szkolny koleżka, pan Anzelm Politatowski, był kiedyś wielkim hebesem. I patrz pan, on uciekł ze szkół, nie nauczył się żadnego rzemiosła, i jest dzisiaj obywatelem i radnym miasta Lwowa! A wszystko to zawdzięcza protekcji! Jeżeli tedy o niego idzie, to już ja go uchodzę. A kiedy pan chcesz się przedstawić?

— Choćby i zaraz.

— Bardzo chętnie! — zawołał pan Boromeusz i porwał się nagle z miejsca. — Bardzo chętnie, pójdźmy nawet w tej chwili.

— Służę panu i dziękuję za tak rychłą gotowość.

Pana Boromeusza zapał chwilowy, to się rozpalał i wystrzelał w górę, to nagle znowu spadał poniżej zera.

Coś mu przeszkodzilo w wykonaniu okazanej dobrej chęci, bo przeszedłszy przez pokój, rzekł chłodniej do Aleksandra:

— Możeby zamiar i wykonanie go odłożyć? Dzisiaj nie ręczę, czy zastalibyśmy pana Anzelma.

— Ale zgoda — odparł Aleksandar — zechciej mi pan tylko oznaczyć godzinę, a ja stawię się punktualnie.

— Otoż, kochany panie Aleksandrze jutro o drugiej, albo po drugiej po południu.

— Jutro o drugiej będę na pańskie rozkazy — rzekł Szeremet, ale zniechęcony, bo i pan Aleksander Szeremet miał także, jak każdy ze śmiertelników słabe strony. Wytrwałości mu wprawdzie nie brakło, ale gdy ktoś zsyłał go na jutro, opanowywało go zniechęcenie, źródło swe z przesądów biorące Sądził on bowiem, że co nie udało się w pierwszej chwili, to nie ma już widoków powodzenia.

Pan Boromeusz wywinął się przypadkiem od atakujących go z dwóch stron, od żony i córek, następnie zaś miał przed kim wygadać się. Przybycie Aleksandra przeszkodziło dalszym domaganiom się córeczek i wprowadziło w dobry humor ojca. To też uradowany gospodarz chodził po pokoju i rozmyślał, jakby, czemby przyjąć gościa. W domu, oprócz kawałka chleba suchego, nie było nic więcej; wiedział o tem pan Boromeusz, łamał więc sobie głowę, co począć? Nareszcie odważył się na krok stanowczy i poszedł po radę do żony.

Wypadało przerwać milczenie, jakie chwilowo nastąpiło po odejściu pana Boromeusza. Szeremet wiedział o tem, panienki pojmowały to instynktowo. Kiedy Szeremet rozmyślał z czemby tak stosownem wystąpić wobec dziewcząt, Stasia nie łamiąc sobie głowy, rzuciła mu pytanie jak z procy:

— Jakich pan woli, smutnych czy wesołych?

Takie raptowne zapytanie dziwnem wydało się Aleksandrowi, ale do odpowiedzi zmuszony, rzekł nie dosyć jasno:

— Zależy to od okoliczności.

— Mnie się zdaje, że to zależy od gustu pańskiego — odparła Stasia.

— O, nie zupełnie. Sądziłbym, że to zawisło od wrażenia pod jakiem się znajdujemy.

— Chwilowo, może, ale tak zawsze, w każdej chwili, czy woli pan smutek czy wesołość?

— Wolę człowieka poważnego — odrzekł Szeremet i myślał w duchu, do czego też spowiedź ta zmierza.

Stasia nie pozwoliła mu namyślać się, była niezmordowaną, i jakby przygotowana zasypywała go pytaniami. Ze spisanego w jej główce protokołu, wyprowadziła nakoniec wniosek, że pan Aleksander lubi usposobienia i charaktery więcej myślące, woli kobietę smutną niż wesołą i t. p. odcienia inne charakteru kobiet. Ośmieliła się nawet na zapytanie, jakie oczy podobają mu się lepiej? Niestety! o tem nie dowiedziała się dzisiaj.

Albowiem kawa, pan Boromeusz, jego żona i Melanja przybyli razem, właśnie w chwili, gdy Aleksander miał objawić gust co do oczu.

Do kawy zasiedli wszyscy przy jednym stole. Aleksander miał sposobność obserwowania naraz trzech córek pana Brzozy. Najstarsza piękna, średnia i piękna i ujjąca — najmłodsza to, to jeszcze dziecko, ale także ładna. Tak myślał i zły był na siebie, bo chwilowo nie słyszał nawet, gdy mówił do niego pan Boromeusz na piękne rozgadawszy się...

— Zkąd mi te myśli i na co mi tych myśli! — łajał siebie w duchu, a swoją drogą wodził oczami od panny na pannę i zamyślał się.

Wieczór się zbliżał. Opatrzyli się wszyscy, że już późno dopiero w chwili, gdy trzeba było światło dnia zastąpić oświetleniem sztucznem. Gospodyni oddaliła się na chwilę, powróciła, ale bez świecy. Aleksander wiedział o niezamożności rodziny, może więc domyślał się, że i światła zabrakło; powstał zatem i chciał pożegnać gospodarza.

— A to panu śpieszno? Czy zamyślasz dziś jeszcze chodzić dalej za interesami? — zapytał pan Boromeusz.

— Polecam się pańskiej pamięci i prosto do domu idę.

— Jutro panu służę najchętniej — zapewniał pan Boromeusz. — Idziemy po drugiej do pana Anzelma, nie powinienby nam odmówić.

Uścisnąwszy dłoń gospodarzą i oświadczywszy czołobitność pani Boromeuszowej, skłonił się Aleksander właśnie pannie Melanji, gdy Stasia raz jeszcze spytała:

— Czy odchodzisz pan śmiertelnie znudzony?

— A! pani! Ile razy tu jestem, zawsze nie wiem, czemu ten czas tak szybko tutaj tylko upływa.

Stasia zarumieniła się i umilkła, Melanja uśmiechnięta dodała:

— Może też z czasem pan sam odkryje tajemnicę i nam ją objawi.

Aleksander powtórzył zmięszany: »może«, i wyszedł nareszcie z pokoju na wschody, a z domu na ulicę.

Nie bardzo ludna nawet w dzień biały ulica Pańska, teraz wieczorem była prawie pusta. Aleksander Szeremet mógł sobie iść zamyślony i nie być potrąconym gdy patrzał w siebie, zamiast przed się. Oprócz zachowawczego ja, co każe nam imać się pracy i w świat prowadzi, budziło się w nim drugie ja, nie przez świat, nie koniecznością żelazną wywołane, ale jakieś bardziej skupione, wewnętrzne. On powtarzał w myśli pragnienia tego nowego ja.

— Ja potrafiłbym kochać, zdaje mi się nawet, że już kocham! Trzebaż mi tego jeszcze, nie dosyć mam utrapień, nędzy? Świeża przybywa męka, bo nie mam nic, nic, coby mogło stanowić jakiekolwiek ostanie się na świecie... Ale nie, nie — to nie można nazwać jeszcze miłością, to tylko sympatja.. A jednak wczoraj jeszcze nie pragnąłem tak prędko, tak gorąco polepszenia, zdobycia sobie losu lepszego, jak ten nędzny obecny... Bo ktoż wie, choćbym jeszcze nie kochał, czyż nie mógłbym kiedyś, zapewniwszy sobie utrzymanie, pomyśleć o narzeczonej, o żonie?... Nie, nie, nie! To szaleństwo! Czyliż już nie chodzę rok cały, nie staram się, i wszędzie przybywam zawcześnie albo za późno, ażeby dostać jaki udział w chlebodajnej pracy? — Ha, ale jutro może los rozstrzygnie.

Tak zamyślony, szedł Aleksander machinalnie prawie ku ulicy Stryjskiej, gdzie w jednym z domków zajmował jeden pokoik pod dachem.

Wiele jeszcze myśli przesunęło się po jego głowie, zanim nareszcie przypomniał sobie także, że miał ciotkę i, że może u niej możnaby teraz znaleść pomoc jaką. Myślał nie o innej pomocy, tylko o protekcji. Nienawidził protekcji, ale cały rok nadaremnych usiłowań, przygłuszyło cokolwiek tę nienawiść.

— Strach zbiera pomyślawszy — mówił do siebie otwierając swą izdebkę na strychu — jak to życie ciężkie oswaja nakoniec człowieka ze wszystkiemi środkami, wiodącemi do celu. Czyliż ja, ja byłbym przed kilkoma miesiącami jeszcze pomyślał tak o protekcji, jak teraz już myślę? Widoczne odstąpienie od zasady, pozbycie się przekonania i to... dla pięknych oczu...

Umilkł, zapalił świecę i rzekł znowu siadając na sofie:

— Czy dla pięknej duszy? Czy dla jej serdeczności? A! wszystko to jedno nakoniec. Dosyć, że dla czegoś nieokreślonego, co już jest jakoby moją drugą istotą.

Wstał i chodził po pokoju. Nie wielki był pokoik, i nie wiele w nim sprzętów. Trzy stołki i kuferek jego własne, stół i sofa pożyczone na tandecie. Sofa, od której w dzień nie wymagano służby nie wchodzącej w zakres jej obowiązków, musiała z nadejściem nocy służyć za łóżko. Zżymała się i trzeszczała z początku, ale po kilku tygodniach sofa, jak ludzie, jakby uznała konieczność, nagięła karku i poddała się w jarzmo ciężkiej niewoli.

Aleksander Szeremet, nim przypytał sobie ubóstwo materjalne i zanim nauczył się mieć silną wolę, był młodzieniaszkiem dosyć grymaśnym i miał dawniej wszystkiego do przesytu.

Opiekowała się nim wspomniana przez niego ciotka, pani Regina Heterowska. Rozwódka a nareszcie i wdowa, dosyć zamożna, obiecywała sobie doczekania się wielkiej pociechy kiedyś z Olesia. Ale z latami pociecha stawała się dla cioci umartwieniem, bo Oleś w szesnastym już roku był upartym w jej oczach chłopcem. Oto Aleksander szesnastoletni nabył nagle narowów ludzi, jak ciocia Regina wyrażała się — ludzi nieokrzesanych. Kiedy przebywał w ostatnich latach podczas wakacji u cioci na wsi, opętało go, mówiła pani Regina Heterowska, i bratał a kumał się z chłopami. Z chłopami! o zgrozo! I tracił dobre znalezienie się. Unikał ludzi cywilizowanych w Paryżu, zarzucił naukę języka francuzkiego a wziął się do angielskiego.

Pani Regina pragnęła wykształcić go na przyzwoitego człowieka. Nakłaniała do zarzucenia szkół i dopełnienia edukacji całym zbiorem znajdujących się u niej romansów. Bolała nad Aleksandrem, że wyniszcza pracą siły fizyczne, że siaduje po nocach i t. p. Ileż to razy nie powtarzała z westchnieniem:

— Olesiu! ach, kochane dziecko, opamiętaj się! Co to z tej twojej nauki, co to z tego, gdy będziesz miał głowę, a nie będzie jej komu nosić? Bo naturalnie że zachorujesz od ustawicznego ślęczenia nad jakiemiś przedmiotami suchemi.

Takie lub podobne do przytoczonego napomnienia nie skutkowały bynajmniej. Oleś wolał w wolnych od pracy dobrowolnej chwilach uganiać po wsi i bratać się ze strzechą, niż nudzić się obok znudzonych w salonie. Nie znęciła go złota młodzież, i ciocia Regina orzekła nakoniec, że natura ciągnie wilka do lasu. To jest, jakkolwiek Oleś po kądzieli idzie z dobrze urodzonych, to jakiś niepewny a prawdopodobnie kmiecy Szeremet zawsze w nim przeważa.

Orzeczono tak, i wyrzeczono się Aleksandra Szeremeta. Pewnego poranku w tydzień po egzaminach, otrzymał Aleksander list od cioci Reginy, w którym polecając go opiece Ducha świętego i Matki najświętszej, zrzekała się opieki. Wyczytał w nim Aleksander wyliczone zbrodnie, wykroczenia, zuchwalstwa, gburostwa jakich się dopuszczał od pewnego czasu. Nakoniec obiecywano grzechów odpuszczenie, nie zadając nawet pokuty, jeżeli Oleś postępować tak zechce, jak ciocia każe.

Ale Szeremet zaciął się, i nie usłuchał. Otoż zawzięła się z drugiej strony nędza, i dopiekała mu nawet zimą. Odtąd zaczynał pracować sam na wyżywienie się, odzienie i sprawienie książek. Z pracy swojej mógł wyżyć zaledwie. Pocieszał się nadzieją, że skoro ukończy szkoły, nabędzie nauki, to za pierwszym na świecie postawionym krokiem, losy będą łaskawsze. Nie przypuszczał nawet, ażeby człowiek szukający pracy, potrzebował protekcji. Gniewały go zdania ludzi utrzymujących, że bez protekcji nie da sobie rady. Niepowodzenie zwalał na zwykłe u nas niedotrzymywanie przyrzeczenia. Postanowił tedy rozpoczęcie reformy od siebie. Od roku dotrzymywał danego słowa każdemu, nawet w okolicznościach, gdzie chodziło o drobnostkę. Ale i tu, jak przedtem w innych rzeczach, nikt drugi nie odwzajemniał mu się czynem.

Przyjaciel jego stary, pan Boromeusz, przyrzekał mu nieraz i nie w jednem zdarzeniu pomoc, ale także najczęściej kończyło się to na obiecankach. Doświadczenia tak gorzkie, stanęły dziś w myśli Aleksandra na planie drugim, na pierwszym stała dziś na poły smętna, to wesoła Stasia, przenikliwa Melanja i zawsze uśmiechnięta Urszulka. W obrazku tym o trzech główkach powabnych, świeciły jednak tylko oczy Stasi dla Aleksandra; drugie dwie głowy służyły tu jedynie za dekoracją.

Przedumał tak czuwając do północy. Gdyby nie liczył na jutro, byłby może i po dwunastej jeszcze nie zmrużył oka. Tak to jutro zawsze lepsze, bo nieznane.

Obudził się późno. Gdy wyszedł na ulicę, ażeby pójść na szklankę mleka ciepłego, wybiła dziewiąta. Nie miewał zwykle żadnego planu na dzień, w którym chodził za interesami. Powróciwszy więc do domu, przewracał książki. Pięć, dziesięć minut zatrzymywał się nad każdą, i wstawał, chodził, oczekując południa i godziny drugiej. Zbliżyło się południe, lecz Aleksander nie poszedł na objad, bo nie miał go czem zapłacić. Kilkudniowe chodzenie za wyszukaniem pracy, pozbawiło go pracy pobieżnej, przynoszącej dochód niestały, ale zawsze dochód jakiś. Aleksander, choć na drodze do zakochania, a może i kochający już, uczuł głód i nie pogardził chlebem, gdy nie stawało na objad.

Nakoniec o drugiej punktualnie stawił się u pana Boromeusza. Pan Brzoza upewniał go jak zawsze, iż najlepsze ma chęci dla niego, ale odłożył znowu wczoraj umówioną wizytę na godzinę szóstą wieczorem. Aleksander zniecierpliwiony postanowił nie opuszczać już domu

pana Brzozy, dopóki tenże nie wróci około godziny piątej. W domu trzy panny, niepodobieństwem więc było znudzić się.

Gdyby Aleksander nie potrzebował znajomości z panem Anzelmem Politatowskim, mogłoby było nastąpić jeszcze dosyć ciekawe sprawozdanie, jak tam w gronie panien czas przepędzał — tymczasem trzeba przejść do rozdziału o panu Anzelmie. (C. d. n.)

Rejtan.*)

Tragedja historyczna w pięciu aktach

przez

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

„Dla tego w dawnych ludziach złotą wiarę
I złote serce miłuję nad własne...“
J. Słowacki.

Osoby:

Król STANISŁAW AUGUST.
MŁODZIEJOWSKI kanclerz koronny.
ADAM PONIŃSKI. — Posłowie na sejm roku 1773.
MICHAŁ RADZIWIŁŁ. — Posłowie na sejm roku 1773.
MARCIN LUBOMIRSKI. — Posłowie na sejm roku 1773.
ŁĘTOWSKI. — Posłowie na sejm roku 1773.
TADEUSZ REJTAN. — Posłowie na sejm roku 1773.
KORSAK. — Posłowie na sejm roku 1773.
DUNIN. — Posłowie na sejm roku 1773.
GACYK. — Posłowie na sejm roku 1773.
I. SZLACHCIC. — Posłowie na sejm roku 1773.
II. SZLACHCIC. — Posłowie na sejm roku 1773.
III. SZLACHCIC. — Posłowie na sejm roku 1773.
IV. SZLACHCIC. — Posłowie na sejm roku 1773.
PAŻ królewski.
OFICER gwardji królewskiej.
SZLACHTA-posłowie, SENATOROWIE, GOŚCIE i DWORZANIE królewscy.

Pani ELŻBIETA GRABOWSKA.
Pani MNISZCHOWA.
ELEONORA, jej córka.
Markiza LULLY.
DAMY na zabawie u króla.

(*Rzecz dzieje się w Warszawie roku 1773*).

Akt I.

(*Ulica w Warszawie: na pierwszym planie z prawej dom Ponińskiego; na drugim z lewej dom, gdzie zebranie posłów; głęboka perspektywa ulicy w dekoracji. Noc księżycowa; światła w oknach obu wspomnianych domów*).

Scena I.

(*Z domu posłów słychać gwar i luźne okrzyki, a od czasu do czasu przechodzą scenę gromadki posłów i wstępują do tegoż domu*).

PONIŃSKI, MŁODZIEJOWSKI, LUBOMIRSKI, RADZIWIŁŁ, GACYK i kilku innych SENATORÓW i SZLACHTY przechodzą i zatrzymują się na przodzie sceny.

PONIŃSKI.
Waszmoście wiecie, że wasze zachody
Około sprawy tej, nie będą płonne,
A zaręczone wam sute nagrody
Niech mówią za mnie!

MŁODZIEJOWSKI.
Ja stany koronne
Na siebie biorę!

RADZIWIŁŁ.
Ja litewskie!

PONIŃSKI.
Basta!
Dziś więc ukończym dzieło i pomyślnie.
Już-bo i jędza oporu podrasta,
A i czas także nie mało nas ciśnie:
Wszak to pojutrze ma być sejm otwarty?
Więc jeśli my go chcemy wziąć w swą władzę,
To dziś nasz zamiar winien być przeparty
Między poselstwem.

MŁODZIEJOWSKI.
Słusznie!

PONIŃSKI.
A więc radzę
Działać sprężyście.

MŁODZIEJOWSKI.
Pójdźmyż, bo tej doby
Właśnie się zbiorą posłowie na radę.

KILKU.
Pójdźmy tam!

(*Odchodzą prócz Ponińskiego i Gacyka*).

PONIŃSKI.
Mojej wam nie trza osoby.
(*Do Gacyka*).
Waść znasz rzemiosło swoje?
(*Gacyk kłania się*).
Płać, czyń zwadę:
Konfederacji byleś zyskał człeka
Między poselstwem —

GACYK.
Ufam —

PONIŃSKI.
Sza! nic więcej!
(*Gromadka posłów przechodzi scenę*).
Nadchodzą — trza się nam trzymać zdaleka.
Waść śpiesz, a wracaj z relacją co prędzej.
(*Rozchodzą się: Poniński do domu z prawej, Gacyk za posłami*).

Scena II.

Występują: REJTAN, KORSAK, DUNIN, z kilkoma innymi.

REJTAN.
Kruki ruszają się już — pewna wróżba!
Godzina nasza zdaje się nadchodzić!
Skrzętnie się rusza wrogów naszych służba,
By zamierzonym ich gwałtom dogodzić.
Więc nie dość, że nas okradną i zniszczą:
Chcą, byśmy sami tę śmierć swą uznali!
A jeśli pewne pogłoski się ziszczą,
To stokroć gorszych wrogów od Moskali
W pośród nas mamy. To też tej naradzie
Dzisiejszej, serce bardzo nie dowierza.
Wszak wiemy, kto to zdawna służy zdradzie!
Pana Adama i pana kanclerza
Poczciwa sława już dawno odbiegła:
A wszak to oni dziś tę radę wiodą!

---

*) Zwracamy uwagę czytelników na tragedję niniejszą, która bezzaprzeczenia należy do najlepszych utworów dramatycznych, z czasów ostatnich. Red. „Nowin.“

KORSAK.

Więc trza nam wartą być, któraby strzegła
Ażeby sejm ten nie był z kraju szkodą.
Ziem naszych mamy na to polecenie
Jak najsurowsze!

DUNIN.

A mamy nareszcie
I własne serce swoje i sumienie!

(*Słychać głośne okrzyki z domu posłów*).

REJTAN.

O, więc Waszmoście dobrze się wybierzcie
Na tę gadzinę. Słyszycie tę wrzawę?
Ten krzyk nie bardzo nam wróży pociesznie!
Jednak z ufnością w naszą dobrą sprawę
Chodźmy w to piekło!

KORSAK.

Pójdźmy!

DUNIN.

Radźmy śpiesznie!

(*Odchodzą do domu posłów. Rejtan zawraca się od drzwi*).

REJTAN (*sam*).

Władze niebieskie! święte! bądźcie ze mną!
Piersi powietrza a sercu spokoju,
Abym przejść zdołał tę to otchłań ciemną,
Nie utknął w słowie i nie upadł w znoju!
Tu trzeba widzieć na co się zanosi:
O, z tych okrzyków poznać bardzo snadnie
Jaka tam hydra swą głowę podnosi,
A kraj, ten biedny! na nic się rozpadnie. —
Pomagaj Boże!

(*Odchodzi za tamtymi*).

Scena III.

Występują: KRÓL otulony mocno beduiną sięgającą po kostki z PAZIEM, toż samo dobrze przesłoniętym.

KRÓL.

Dobrze my idziem paziu tą odludną
Ulicą?

PAŹ.

Prosto —

KRÓL (*przystając*).

Ja się prędko zmęczę!
Coż, dobrze kryje mię ten strój?

PAŹ.

O, trudno
Poznać w nim Waszą królewską Mość, ręczę!

KRÓL (*usiada na kamieniu pod bramą jednego z domów*).

Znużony jestem i czegoś mi braknie!...
O, jestem strasznie przesycony życiem:
Śpi moje serce, a mimo to łaknie,
Już nie wiem czego? ale głośnem biciem
Czegoś domaga się dzisiaj widocznie!
Powiedz mi, czego ono chce? pazieńku! —
Ciszy mu, ciszy! niech sobie odpocznie
To biedne serce! Chce, na dobrem ręku
By je jak senne dziecię kto kołysał!
Gryzą je moje królewskie kłopoty,
A czas nieszczęsny do reszty je wyssał!
I nie masz jednej na świecie istoty
Którą by serce to szczerze obeszło! —
O, mej młodości pełnej tęcz i kwiatu
Chciałbym dziś — przeszła! Wszystko dla mnie przeszło,
A i cień tylko został z majestatu!

(*Paź ociera łzę*).

Cyt! — Niegdyś marząc o ludzkiej wielkości
Jakie ja miałem sny! — Dziś? ha, monarcha,
Który ludziskom najprostszym zazdrości!

(*Zrywa się z siedzenia*).

Pójdź chłopcze! będziesz mi czytał z Plutarcha
Jakie żywota ludzkie bardzo skromne,
A jak kwiat polny pełne ros i woni!
Chodź! chodź!

PAŹ.

Mój dobry panie, ja przypomnę,
Żeśmy umyślnie szli do tej ustroni.
Jejmość przy końcu mieszka tej ulicy —

KRÓL.

Ach, zapomniałem całkiem mej Elżusi!
Biegnij-że do niej lotem błyskawicy!
Pytaj, czy w domu — no, w domu być musi —
Lecz pytaj, czyli mię przyjąć gotowa,
Czy sama? — dodaj, że tu czekam w chłodzie

(*Paź oddala się*).

Dobrą mi bardzo ta Generałowa,
I ona jedna była aż na spodzie
Mojego serca! — O, gdyby nie wrzaski
Ludzkie, inaczej bylibyśmy z sobą!
Nie potrzebował bym używać maski
I tak się do niej skradać nocną dobą —
Ha, król! to już się cieszą złe języki!

(*Słychać wrzawę z domu posłów*).

Sza! zkąd ta wrzawa i głosy ogromne?
Co mają znaczyć po nocy te krzyki?

(*Po chwili nadsłuchiwania*).

A! teraz pomnę już dobrze, ach! pomnę,
Zkąd te okrzyki rwą się tu piekielne:
Tam pewnie zdrajcy knują swoją zbrodnię!
Te kreatury podłe i bezczelne,
Które trzem dworom chcą pomódz, niegodnie
Ten kraj rozszarpać! Tak, to ci nikczemni
Przeprowadzają teraz swe rachuby —
A ktoż zamiary ich złe udaremni,
Jeżeli wszystkich pobiorą za czuby,
Samego króla nawet! a co zwłaszcza,
Mając za sobą przemoc tak zuchwałą!
Tę przemoc, która mię ciągle wywłaszcza
Z władzy i rada by ją odjąć całą!
I nie wiem jaka może stanąć tama
Tym złym zamiarom? — Nie wiem!

(*Wchodzi Paź*).

Cyt! ktoś idzie —
I coż pazieńku?

PAŹ.

Jejmość czeka. Sama.

KRÓL.

Przy niej zapomnę o tej wszystkiej biedzie
Mojej dzisiejszej! O, pójdźmy co prędzej
Do niej! Z nią wespół może mi się uda
Obmyśleć środki na zgubę tej jędzy,
Bo ta kobieta umie tworzyć cuda
Pomysłów! Chodźmy! (*Odchodzą*).

Scena IV.

Z domu posłów wysuwa się GACYK z I. SZLACHCICEM, później PONIŃSKI.

GACYK (*do towarzysza*).

Waszmość, panie Dzwoncze
Wracaj i pilnuj zaczętej roboty;

Ja wnet powrócę i targ z Waścią skończę,
Masz tu zadatek. Krzycz, pofolguj z cnoty,
Byleś rzekł dobrze o konfederackim
Związku i pana Ponińskiego cnocie.
Ruszaj!

(*I. Szlachcic odchodzi do domu posłów*).

Hej, gardła rosną synom lackim!
Strasznie dziś wszelki człek smakuje w złocie!
Hym, hym, zepsucie! tfy!

(*Puka w drzwi Ponińskiego domu*).

Hę! Jasny Panie!

PONIŃSKI (*występuje skwapliwie*).

I cóż?

GACYK (*krząka*).

Hym, hym, hym! —

PONIŃSKI.

I jakie-ż to Wasze
Możesz tu stroić miny? Wszak staranie
Swoje przyrzekłeś: Język czy pałasze
Kupić, Waćpana było rzeczą; moją,
Dać ci pieniądze i zostać marszałkiem
Konfederacji!

GACYK.

Ej, tym co się boją
Zdybać się oko w oko z lada śmiałkiem,
Nie wiem czy poszłoby to tak jak z płatka!

PONIŃSKI.

Wiem, gdzie to Waszmość ugodzić chcesz, bracie!
I sam przyznaję, że nie każda kratka
Chowa takiego w szatańskim warsztacie
Biegłego mistrza, jak Waćpan!

GACYK.

Dziękuję!
Jasny Pan lubi pochlebić —

PONIŃSKI.

Słów szkoda!
Bo ja cię teraz Gasiu zapytuję:
Jak tam na młyn nasz przepędza się woda? —
Pieniądze wziąłeś. Jasno i wyraźnie
Teraz: coś zrobił dotąd w zawiązaniu
Konfederacji naszej? — Milczysz błaźnie?

(*Wrzawa w domu posłów*).

Masz! (*Daje mu złoto*).
Masz, a tylko mów!

GACYK.

Na poczekaniu!

(*Przelicza złoto*).

PONIŃSKI.

Ej, ej, mój Gasiu, to bardzo zuchwale!

GACYK.

Co za krew! — Zaraz, zaraz! Niech przeliczę —

PONIŃSKI.

Liczysz łotrzyku? a ja się tu spalę!

GACYK.

Zwolna, na Boga! Zaraz mówię, krzyczę —

(*Chowa trzos*).

A najprzód: niech ich wszystkich porwą djabli!
Sto głów szlacheckich, Mospanie! a dwieście
Rąk, z których każda gotowa do szabli,
Hę? czy to może fraszka? A nareszcie
Języków, których na głowę trzy liczę
— Nieprzesadzając nawet — czy to żarty?
I takiej hydrze pokazać oblicze,
Czy nie jest męztwem? Nagrody nie warty
Ów człek, co śmiało tam stał w sprawie Pana?

PONIŃSKI.

Dalej-no dalej!

GACYK.

Krótko a dobitnie:
Rzecz była straszna! — Hydra rozfukana
Zrazu stozębem swoim strasznie zgrzytnie,
Kiedy jej zacznę przystawiać do serca
Konfederację, co to ma na celu
Dobro powszechne — (*Krząka*).
Ci wrzeszczą: szalbierca!
Owi: to zdrajca! jak innych tu wielu!
Próżno wynoszę szlachetną osobę
Konfederackiej kandydata laski,
Próżno wysławiam cnotę i ozdobę
Obywatelską kandydata! Wrzaski,
Złe słowa, które lepiej tu zataję — —

PONIŃSKI.

Możesz je Acan sam dla siebie strawić.

GACYK.

Dziękuję. Słowem, królewscy hultaje
Chcieliby strasznie waszą Mość zniesławić,
Bo król Jegomość — co rzecz bardzo jawna —
Chciałby dziś wylać cały zapas wstrętu,
Który przeciwko Waszmości ma zdawna;
Lecz, że człek stary lis! więc krętu-wętu
Kiedy ten pożar począł nad łbem trzaskać,
Zażył ot, (*Potrząsa trzosem*).
środka, co umiał go zgasić.
Jakoż się dała ta hydra ugłaskać
I wnet jej kilka głów jęło się łasić
Konfederacji naszej!... Na zamknięcie
Mojej relacji dodam, że dziś z wrogów
Wszystkich najbardziej nam stoją na wstręcie
Kilku Ichmościów z ziemi tu rarogów
Na sejm zasłanych — króciej: posłów z Litwy!
Dwu nowogrodzkich posłów mianowicie
Z konfederacją stanęło do bitwy
I chcą jak widzę pójść na śmierć, lub życie!
To też forsować trza, a jako taktyk
Radzę wyprawić tam ciężką armatę
Dopóki pora —

PONIŃSKI.

Tyś mistrzem tych praktyk!
Co? może czekasz teraz na zapłatę?
Powiedz i weźmij; na każdy wydatek
Ja jestem gotów, byle nie wymyślny.

GACYK.

Hym, ani słowa, że dobry ostatek
Wymaga więcej. Jasny Pan domyślny!
Bo też ta hydra pożera żarłocznie:
Złotówki lecą jakby w otchłań morską!
Lecz, kiedy człek już Mospanie! co pocznie,
To radby skończyć. — Jej impertorską
Mość Najjaśniejszą Katarzynę drugą
Rozdałem świeżo w złocistych portretach
Ze dwa tysiące sztuk —

PONIŃSKI.

Aj! ty nie długo
Zniszczysz mię bracie!

GACYK.

Jakby w oczeretach
Suchy żwir: ani-ani znać za chwilę
Złotówek, między palcami szlachcica,
Które nastawia ciągle —

PONIŃSKI.

A! na tyle
Nie starczy cała Wszechrosji mennica!

GACYK.
Jasnemu zda się, nigdy jej nie braknie!

PONIŃSKI.
O to Acana, błaźnie! nikt nie pyta.
Rób swoje lub milcz!

(*Okrzyki z domu posłów*).

GACYK.
O, jak hydra łaknie!
Więc przedewszystkiem żeby była syta
Złotówek trzeba!

PONIŃSKI (*daje mu trzos*).
Masz!

GACYK.
Więc mogę prawie
Już powinszować: jeśli do pioruna,
Takowy omen świeci jakiej sprawie,
To pewnie z wieńcem czeka ją fortuna!

PONIŃSKI.
Nie bądź mi tylko Waść tak nadto hojny:
Szlachciurę możnaby zbyć obietnicą —

GACYK.
Jaśnie Wielmożny możesz być spokojny!
Ludzie dzisiejsi jeśli nie zachwycą
Na ząb Mospanie, nie biorą w rachubę
Żadnych obietnic. Świat się już starzeje,
Więc też podmądrzał trochę: słowa w tubę!
Co nie ma blasku i dźwięku — nie grzeje!

(*Okrzyki*).

O, moja hydra robi dużo krzyku!
Sługa najniższy. Czas wielki! trza śpieszyć.

PONIŃSKI.
Stój! Jeszcze słowo. Pamiętaj łotrzyku:
Gdybyś mi skrewił, to ja ci się cieszyć
Nie dam tem złotem, które łupisz ze mnie —
Pomyślał ja bym coś o ciasnym szalu —

GACYK.
Jakoś o sobie pomyślim wzajemnie —

(*Okrzyki*).

Sługa. — Już idę, idę ty Baalu! (*Odchodzi*).

(C. d. n.)

ŚWIAT CUDÓW.

BAJKA
nie z „Tysiąca i jednej nocy“.

(Ciąg dalszy).

Leśna ułożywszy do snu królowę rusałek, straż pałacu powierzyła swej najmilszej towarzyszce jasnowłosej Toplanie, a sama, chyża jak jej chęć serdeczna, przeleciała przestrzeń dzielącą ją od liści paproci, kryjących skarb najdroższy... i któż wypowie ogrom jej boleści, gdy miejsce znalazła próżnem — Cienia nie było w ukryciu!

Wiedziała o swej winie paproć, i drżąc stula kielich przecudnego kwiatu — korony wszechkwiecia... Zgrozą przejęty wiatr uległ się w szczelinie skały; trawy kornie pochyliły główki, przeczuwając burzę...

— Gdzie on! — wykrzyknęła Leśna głosem, który drzemiące lwy obudził. — Gdzie ten, którego-m w straż twym liściom oddała? nieszczęsna paproci!

Drząc nieopisaną trwogą, pewna najstraszliwszej kary, paproć zaledwie wyszeptać zdołała:

— Wodnica...

— Ach! — jęknęła Leśna, imie to usłyszawszy — O n a! zawsze o n a!... Zabierz mi wszystko, zniszcz wszystko, mnie wtrąć do otchłani; ale mi jego powróć! wróć mi Cienia, Wodnico!

Tyle w głosie rusałki było prawdziwej boleści, taka rospacz straszliwa, że cała natura odczuła jej cierpieniom, i nie było istnienia, któreby nie zabolało nad nieszczęściem.

— Nie ma go! nie ma! — wołała rusałka w rospaczy. — Wszystko stracone!... Kwiecie ohydny! — krzyknęła, zwracając się do paproci — któryś mi winien twe panowanie pomiędzy kwiatami! także to dziękujesz za dobrodziejstwa?... Nędzną byłeś trawą, ukrytą wśród leśnych parowów — dałam ci kwiat piękności cudu... a tyś mi skarb mój wydarła!...

— Jestem winną — drząc szeptała paproć. — Ukarz mię, bo grzech mój wielki.

— Straszny! okropny!... i nie ma pokuty, która by go odkupić mogła! — wołała rusałka — Kwiecie niewdzięczny! kwiecie zły! odbieram ci moc cudu, pozbawiam krasy! przeklinam wieczyście — giń! — i ręką ujęła koronę kwiatu.

Jęknęła paproć, targnięta najwyższą boleścią; kwiat za kwiatem posypał się z korony; a gdy ostatni miał upaść rwany ręką rusałki, księżyc z rospaczą:

— Stój Leśna! — zawołał. — Ja to, nieszczęsny, winien jestem. Chcąc mnie ratować zdradziła cię paproć. Nie karz niewinnej! Oto jestem w twej mocy...

— Ty? ty, blada maro!... O, — bądź przeklętym! A ty, niecny kwiecie — dodała zwracając się do paproci — któryś mi taką krzywdą zapłacił za dobrodziejstwa, zgiń w nicestwie. Na chwilę zakwitaj tylko, a rok cały bądź nieużytem zielskiem. Przepadnij! przepadnij!

Ledwie wyrzekła te słowa, kwiat pochylił piękną swą głowę, z której korona spadła, i smutnie suchemi liśćmi zaszeleścił. A księżyc z żałości i serdecznego bolu, by nie patrzeć na męczarnie kwiatu, odwrócił swą twarz promienną — i do dziś odwraca ją każdego nowiu.

Po wyrzeczeniu klątwy stanęła rusałka nad brzegiem strumienia. Groźne chmury sprowadza na czoło, pioruny do oka; lwi ryk ma w piersi; włosy i z traw przepaskę puściła na wiatr... załamała ręce przejrzyste, i stoi na blask wzięta.

W tej chwili zaszeleściały drzew wierzchołki, puszczyk jęknął w oddali, przed Leśną staje Wodnica...

Straszliwy był wzrok zrospaczonej, którym przeszyła swą rywalkę!... lecz się odbił on o szyderczy uśmiech Wodnicy, o pogardliwe spojrzenie, którem odpowiedziała na wyzwanie.

W promień wplata się księżyca, brylanty rosy pokłada na czoło, błękit wzięła za szaty, i bawiąc się jedną z gwiazdek, zanuciła, złośliwie patrząc na Leśnę:

„Sen-ziele, sen-ziele!
Chłopczyku aniele!
Cud cudów w twem ciele
Sen-ziele, sen-ziele!
Mam wiele — dam wiele,
Sen-ziele! sen-ziele!“

— Cha, cha, cha! Nieprawda-ż, siostrzyczko, piękna piosenka?

Szyderstwo to nie znalazło już Leśnej. Płomieniem rzuca się na nieprzyjaciółkę, i ogarnia ją całą.

Wodnica, w też ślady, przemienia się w potok... Smok straszliwy wypija wodę — do walki sęp z nim staje!... Na sępa wpada straszliwy kangur, i szpony swe weń wpija...

Wodnica staje się chmurą!... W chmurę bije piorun: Leśna... Zapaśnik przemienia się w ostrze żelaza, i wbija piorun do ziemi środka. Leśna wybucha na zewnątrz wulkanem, i lawą zalewa Wodnicę — już osłabioną w nierównej walce... Uwięzła w lawie, i wydobyć się z niej mocy nie ma.

— Przeklęta! — woła Leśna. — Sto wieków upłynie, zanim cię ztąd wydobyć zdołają, jeśli mi go nie oddasz!...

— Za wieków tysiące jeszcze go mieć nie będziesz! — odpowiada Wodnica, niknąc wraz z lawą w otchłaniach krateru.

Straszliwy był bój rusałek. Wstrząsnął on ziemię w posadach, i królowę ze snu przebudził. Zgorszona hałasem wysyła pani rusałek swego marszałka, by się dowiedział przyczyny niepokoju.

Marszałkiem dworu królowej był straszliwy Strzyg, król niedźwiadków. Dla brzydoty i złego charakteru nienawidzono go w całem państwie wodnem; a najbardziej niechętną była mu Leśna, do której Strzyg uczuwał szczególny pociąg, zwąc go: zakochaniem.

Wyszedł na powierzchnię, nozdrza szerokie rozdął i wietrzy...

Księżyc żył ze Strzygiem w niezgodzie od czasu, gdy przekonał się o podstępnych intrygach tego dworaka, i przy sposobności szkodził mu blaskiem. I w tej chwili ugodził go pociskiem, aż Strzyg kichnął; kichnięciem rozłupał skałę na dwie połowy, i tym sposobem uwolnił jednego z Chochlików, zamkniętego w niej za pewną zdrożność.

Wyswobodzony psotnik skłonił się figlarnie Strzygowi, i odleciał na łąki do braci, w przelocie musnąwszy skrzydełkiem o białą pierś Leśnej, którą to wyrwało z zadumy.

Rusałka przemyśliwała nad sposobami odszukania swego kochanka. Widok Strzyga, którego ujrzała nad strumieniem, przeraził ją, ale i wzbudził myśl, którą pochwyciła Leśna.

Z wymuszonym uśmiechem, walcząc ze sobą, zbliża się do Strzyga, i zlekka dotyka jego ramienia.

Strzyg drgnął, a ujrzawszy boginię swego serca, upadł przed nią na kolana.

— Najpotężniejsza z potężnych — zawołał — pani mojego serca! powiedz: czego żądasz odemnie? a choćbym miał wyzuć się z istnienia — uczynię zadość twej woli...

Leśna spojrzała wzrokiem, który przeszył na wskróś marszałka i jako balsam spłynął w serce... Od lat stu nie widział równego spojrzenia!

— Rozkazuj czarodziejko cudowna! — wołał zachwycony marszałek. — Masz we mnie niewolnika.

— Strzygu! — rzekła doń Leśna — mam ci zrobić zwierzenie, i żądam twojej pomocy. Wstań i wysłuchaj mnie z uwagą!

Strzyg powstał, a Leśna mówiła dalej:

— Wiem, że mnie kochasz...

— Ach! — westchnął marszałek, nieśmiało spojrzawszy w prześliczne oczy rusałki.

— Ty wiesz — mówiła dalej rusałka — że cię nienawidzę.

— Niestety! — znowu westchnął Strzyg, ale tym razem bardzo smutnie.

— Otoż teraz wszystko to zmienić się może...

— Za jaką cenę? — zawołał marszałek, a oczy mu się zaiskrzyły, czyniąc go bardziej okropnym.

— Za cenę posłuszeństwa i wypełnienie moich rozkazów.

— Czekam na nie i spełnię.

— Wszystkie?

— Wszystkie!

— Zamknęłam Wodnicę we wnętrzu ziemi, a ty nie powiesz o tem królowej.

— Będę milczał jak grób.

— Zostałam skrzywdzoną — zemściłam się, i dalej mścić się będę! Ta niecna otrzymała zasłużoną karę; ale jej kochanek...

— Czy któren z moich podwładnych?

— Nie! jest nim pewien śmiertelny...

— Co słyszę?

— Tak jest. Ukryła go w miejscu mi nie znanem; lecz go wynaleść muszę! by ukarać jak na to zasługuje. Ty mi przyjdziesz z pomocą.

— Najchętniej. Ale gdzież go mam szukać?

— Gdybym o tem wiedziała, czyliż byłbyś wezwanym?...

— Słusznie. Będę go szukał; wynajdę i oddam do twych rąk; ale... jakąż nagrodę otrzyma Strzyg za trudy?...

— O tem później.

— Królowo moja!...

— Śpiesz się, bo zasługa ominąć cię może. Wezwę innego.

— Lecę. *Adieu* moja pani promienna! będziesz go mieć niewątpliwie!

Po zniknięciu Strzyga, zamyśliła się Leśna. Przeczucie mówiło jej, że odszukanie Cienia nie będzie tak łatwem. Nie napróżno groziła jej Wodnica lat tysiącem...

— Ha, cokolwiek się stanie — rzekła — wynaleść go muszę!... Z pomocą Strzyga dowiem się o miejscu jego pobytu — dodała, rozpływając się w powietrzu. (C. d. n.)

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.